

Kronika tygodniowa.

Przed przystąpieniem do właściwego porządku dziennego, *recte* tygodniowego, odpowiedzieć muszę z polecenia Wydawnictwa *Nowości ilustrowanych* na liczne interpelacje P. T. Czytelników, dlaczego przerwano druk zajmującej powieści Adama Wiarygi *Minieskiego* pt.: „*Jak krąży*”.

Stało się to z powodu obłożnej słabości Autora, która podążała za sobą konieczność wstrzymania się od wszelkiej pracy i wyjazd na świeże powietrze. Stan jego zdrowia poprawia się, jak się dowiadujemy, z dnem każdym, spodziewamy się też, że już w najbliższym czasie będziemy mogli podać jej dalszy ciąg i zakończenie i zaspokoić w ten sposób zupełnie uzasadnione zaniepokojenie ogółu.

Prosimy więc o cierpliwość. Maluczko, a wszystko będzie w najzupełniejszym porządku. Zanim liście z drzew opadną — niech nam wolno będzie użyć barwnego wyrażenia *ex-cesarza Wilhelma* — stanie się, czego żądają P. T. Czytelnicy, zupełnie niesłusznie posadzający Redakcję, iż na przerwanie druku wpłynęli może „*paskarze*”, tak w niej trafiało scharakteryzowani, że jeden z nich w chwili dobrego humoru odezwał się do kronikarza:

— Szelmie ten autor!... Musiał mnie podpatrzeć i żywcem przeniósł mnie na papier!... Ale ja się o to nie gniewam! Niech ludzkość cała wie, jak my ciężko musieliśmy w wojennym czasie pracować dla dobra ogółu!

Wywiązawszy się w ten sposób z udzielonego mi polecenia, przechodzę do właściwego porządku i zaczynam... od pogody, nie dlatego jednak, jakobym w kalendarzowym czasie, który po inne lata był sezonem węzów morskich i dziennikarskich kaczek, ale z powodu, że tegoroczna pogoda tak się nam już dała we znaki, iż zasługuje na publiczne potępienie.

Wszystko jak gdyby sorzysnęło się na nas, nawet i ona, tak, że mimowolnie nasuwa się myśl, czy przypadkiem niebieskim referentem od pogody nie jest jaki niefachowiec, o domowym jeno wykształceniu, który widocznie o tem zapomnieli, że deszcz jest wprawdzie pożądanym, ale nie przez rok cały, tylko wtedy, kiedy go potrzeba, a teraz obejdzie się najzupełniej bez niego, bo zaczynają się i tak już spóźnione żniwa.

Jeżeli zaś nie zbierzemy tego, co matka-ziemia zrodziła, pomrzemy z głodu i nie doczekamy się rozwiązania najciekawszych problemów, które nas tak zajmują.

Zdaje się, że miał rację stary Wernyhora, przepowiadając, że w roku, który będzie pierwszym w budzącej się do nowego życia Polsce, zima zejdzie się ze zimą, to jest, że nie będzie lata.

Ci, którzy o tem wiedzieli, nie oddali też w bieżącym roku fater w przechowanie do kuśnierza, ani do lombardu, zupełnie tak samo postąpili i kronikarz, ale tylko z tego powodu, ponieważ futra nie posiada.

Swoją drogą, trzeba przyznać, że deszczu tak się już przyzwyczailiśmy, iż wychodząc rano na ulicę i widząc słońce, uśmiechające się do nas figlarnie ze sklepienia niebieskiego, mówimy z zadziwieniem:

— A to jednak ciekawe!... Dziś deszcz jeszcze nie padał ani raz!

I wystarczy to powiedzieć w nieszczęśliwą chwilę!... Z poza kominów zaczynają się wysnuwać czarne chmurska i, ani się spostrzeżesz, leje jak z cebra, z czego najbardziej cieszy się Zakład czyszczenia miasta, mogący w roku 1919 skreślić zupełnie z budżetu wydatki na skrapianie ulic, a poczynione w ten sposób oszczędności obrócić na jakiś inny cel.

Smutną natomiast minę robi każdy śmiertelnik, który wie o tem, że, chcąc żyć, trzeba jeść, a chcąc jeść, trzeba mieć i co i za co!

Jak zaś niepogoda odbić się musi na aprowizacji, dowodem tego choćby taka drobnostka, jak... nowe ziemniaki.

Po inne lata było ich w tym czasie po naszy, dziś należą do rzadkości, za które trzeba płacić wprost bajoniskie sumy.

Wystarczy powiedzieć, że w niektórych jadalniach można się nimi uraczyć, ale porcja, składająca się z czterech jednoatek, nie większych od orzecha włoskiego, kosztuje tylko... trzy korony.

Temu się i dawać nie można, sam bowiem na swe własne uszy słyszałem, jak pewna wieśniaczka zatała na targu za sto kilogramów sześćset koron, w drobnej zaś sprzedaży po siedm koron za kilo!... Zapewniała jednak, że z pewnością potanieją, skoro tylko pańskie grunty zostaną między chłopów podzielone.

Wogóle jarzyny są dziś tak drogie, iż pewien kapitalista, wybierając się na niedzielę do swej połowicy, bawiącej w Zakopanem, a chcąc jej zrobić przyjemną

niespodziankę, zakupił na placu Szczepańskim różnych spóźnionych „*nowalljek*” za sto koron i najspokojniej w pięciokilowej torbie papierowej zanosił je do domu, ciesząc się, że nie będzie miał kłopotu bodaj z transportem.

Skutek był wprost nieoczekiwany... Gdy się magnifika dowiedziała, ile ta odrobina kosztuje, zemdliała, a doktor i aptekarz wzięli drogą stówkę i podzieliли się nią jak bracia.

Sto kilogramów żyta kosztuje dziś dziesięćset koron. w przyszłym roku, jeśli teraz żniwa nie dopiszą, będzie kosztować dwa razy tyle, jak mnie znów zapewnił pewien większy agraryusz, narzekający stale, choć ma już w Krakowie trzy kamienice, że „i tak na swoje nie wychodzi!”

A Galleja to podobno kraj rolniczy, o ile więc gorzej musi być gdzieś indziej!

Tak być powinno, mówi zdrowy rozsądek, ale tak nie jest. Już w Czechach, choć to kraj więcej przemysłowy niż rolniczy, jest pod tym względem daleko lepiej.

Kto temu winien, nie czas, ani miejsce nad tem się zastanawiać, gdyż miałem pisać o niepokojach, jeżeli zaś poruszyłem sprawy ekonomiczne, to tylko o tyle, o ile z nią pozostają w jakim związku.

W Gorlikiem wyrządziło oberwanie chmury szkody, obliczone na dziesięć milionów, to samo powtórzyło się, choć w mniejszych rozmiarach i w Krakowskim, gdzie grad wytłukł to, co dotąd na deszczu nie zgniło.

Otwiera się więc przed nami bardzo miła perspektywa, że będzie jeszcze gorzej, czemu już dał wyraz i minister aprowizacji w swej przemowie w Sejmie warszawskim, stwierdzając, że, choćby nawet żniwa wypadły dobrze, okaże się jeszcze brak sześciu milionów, zapomnieliśmy jednak setnarów, czy kilogramów, rozmaitych niezbędnych do życia produktów rolnych.

Musi to być prawda, skoro tak powiedział pan minister, nie chcący widocznie pozostać w tyle za kolegą Karpińskim, który deficyt budżetowy oblicza na miliony.

Wogóle żyjemy obecnie pod znakiem deficytu w najróżnorodniejszych formach, a całą nadzieję, że będzie lepiej (może się nawet i pogoda poprawi... przyp. zecera), pokładamy w panu Billńskim, który ma nas wyciągnąć z błota, w jakie nas nieudolność poprzednich i obecnych rządów wpakowała.

„Bezrządem Polska stoi” narzekał swojego czasu Skarga, a musieliby to i dziś powtórzyć, gdyby żył młodzi nami i patrzył na to, co się dzieje.

Aż włosy na głowie, nawet u łyszego, podnoszą się, gdy się słyszy i czyta o tem, co dla dobra ogółu robią sery decydujące, a za te uważam Sejm i Rząd warszawski, gdyż nasz rząd małopolski, jako jedyny dzielnicowy, musi się z natury rzeczy z nimi liczyć i jest od nich bezpośrednio zawisły.

Miał to być Sejm konstytucyjny, należało się więc spodziewać, że w pierwszej linii załatwi się z konstytucją, tymczasem zaś pół roku już radzi nad wzrastającym innem, a o niej zapomnieli. Uchwalono natomiast reformę agrarną w tej formie, jak jej sobie życzył p. i Witos i jego koledzy, a choć spotkała się ona z ogólną krytyką nie tylko w kraju, ale i za granicą, posłowie pojadą na ferye zadowoleni ze siebie, mogą się wobec wyborców wykazać owocami swej pracy i nie potrzebując się narażać na nieprzyjemne, bo czasem namacalne dowody niezadowolenia.

Owoce te są wprawdzie kwaśne, ale w każdym razie są to owoce. (Tego roku, dzięki niepokojom, owoce wszelkiego rodzaju nie dopisały!) Wyjeżdżając w lutym do Warszawy, zapewnił wyborców, że powrócą z gruntami pańskimi i dotrzymali słowa. Wiozą je wprawdzie tylko na papierze, ale i to coś znaczy.

Reforma agrarna pojęta w ten sposób, jak ją chcieli i mają ludowcy, doprowadzić musi nasze rolnictwo do ruiny i to powiedział już głośno francuski minister, znający nasze stosunki.

Ludowcom pomagali dzielnie w tym kierunku socjaliści z panem Ignacym na czele, ale widocznie zapomnieli o tem, że sami kręcą bicz na siebie, bo, jeżeli w samej rzeczy wejdzie ona w życie, miasta nasze będą w jeszcze większej mierze skazane na łaskę i niełaskę małych rolników i ich wyzysk, a codziennie mamy sposobność przekonać się na swej własnej skórze, że nasz pocelwy chłopiek to paskarz pierwszej wody. Dotąd żywił miasto wielkie gospodarstwa, gdy ich nie stanie, trzeba się będzie obejść smakiem, albo płacić jeszcze więcej, niż obecnie.

Już to wogóle nasi wielcy i mali politycy wysilają się poprostu na to, aby postępować tak, jak się nie powinno i aby z tego nie było żadnego pożytku, jedynie szkoda i to taka, którą trudno powetować.

Koalicja poznała nas widocznie, narzucając nam traktat pokojowy z nprzywilejowaniem mniejszości narodowych, umiędzynarodowieniem polskiej dotąd Wisły i uprawnieniem Ligł narodów, aby nos swój wtykała

w nasze sprawy wewnętrzne i nieposłusznych jej woli podlegała do odpowiedzialności.

Większość sejmowa, na której mógłby się rząd opierać, ciągle się lepi, ale się to jakoś nie udaje. Może to nawet i lepiej, jeśli bowiem miałaby być tego rodzaju, jak ta, która uchwaliła reformę agrarną, nie doczekalibyśmy się nigdy wewnętrznego porządku i ładn, ani uregulowania stosunków z zagranicą i musieli wobec tego spodziewać, że się nami zaopiekuje ktoś z protektorów, lub sąsiadów.

Jak zaś wygląda w praktyce taka opieka, wie chyba każdy.

Jaki pan, taki kram. Jaki Sejm, taki i rząd, który z Sejmem zostaje w najściślejszym związku, a składa się w przeważnej części z ludzi, którzy nie dorosili do pełnienia funkcji, jakich się podjęli, lub podjąć się im kazano.

I stąd te rozporządzenia, nadające się niejednokrotnie do humorystycznego traktowania, choć wydane zupełnie na seryo, ale przez ludzi nie fachowych, mających częstokroć tylko „*domowe wykształcenie*”.

Błędą to, jeśli się ktoś rwie do rzeczy, do której nie dorósł, choćby bowiem miał i najlepsze chęci, wcześniej lub później musi dojść do przekonania, że same one nie wystarczają.

I wtedy dopiero zrzuca się pychę z serca i woła z rozpaczą:

— Panie Billński!... Ratuj!

A dobrze jeszcze, jeśli jest w zapasie taki pan Billński i jeśli się go wczas wezwie. Gorzej byłoby, gdyby go nie było, albo gdyby powiedział:

— Kto nawarzył piwa, niech je pije!

Rekonstrukcja gabinetu, która ma nastąpić po wejściu doń dra Billńskiego, ma stanowić ową deskę ratunku, na którą się wreszcie zdecydowano, widząc, że nie ma innego wyjścia. Czy to jednak pomoże i na jak długo, to kwestya bardzo wątpliwa, wobec tych stosunków, jakie u nas panują, gdzie każdy stara się o to, aby organizm państwowy, budzący się dopiero do życia, postawić w jak najtrudniejszym położeniu.

I po prostu nie chce się wierzyć swym oczom i uszom, gdy się czyta, lub słyszy, że wybitny poseł, przywódca partii, mający stale na ustach dobro ogółu przemawiając na zgromadzeniu kolejarzy w Krakowie, powiada:

— Wy musicie wywalczyć swoje prawa i wywalczyć je!

Czy nie byłoby odpowiedniejszym, gdyby zamiast tego był się do nich zwrócił z zachętą, aby gorliwie wypełniali swe obowiązki, aby pracowali ile sił starczy, bo państwo tego potrzebuje!... Tak jednak nie było. Mowa wspominająca o obowiązkach, a nie o prawach, straciłaby od jednego zamachu całą swą popularność, bo dziś praca intensywna i celowa, ale dla dobra ogółu, a nie jednostek lub partii, nie jest w modzie.

Jeśli kolejarze wykonają sumiennie swe obowiązki, nie zapomni o nich państwo z pewnością i nie zmusi do walki dopiero o słuszne prawa. Jak zaś wygląda w praktyce taka walka o prawa, widzimy zwłaszcza na stosunkach, jakie panują w Królestwie Polskiem i powodują do ostatecznych granic posuniętą dezorganizację będącą wodą na młyn tych, którym na tem zależy, abyśmy nigdy nie wyszli z powijaków i dali się pierwszemu lepszemu za nos wodzić.

Łatwo zrozumiałą jest też niechęć Wielkopolski do ścisłego złączenia się z resztą kraju w tych warunkach. Zgadniają się na to, ale z zastrzeżeniem, jeżeli będą mieć słowo ostatnie i decydujące:

I mają rację!... Z niewoli pruskiej skorzystali tyle, że wiedzą, co to ład i porządek i że bez niego żaden organizm państwowy, zwłaszcza zaś świeżo dopiero budzący się do życia, obejść się nie może.

Alle mieli rację i ci, którzy się opierali temu, aby posłowie wielkopolscy weszli do Sejmu w pełnej liczbie. Wiedzieli, że idzie tu o ich skórę i że ci, którzy przyzwyczajeni są do porządku, a Ojczyznę swą kochają prawdziwie, nie pozwolą im rządzić się według swego widzimisię.

Jednym słowem, jest źle, ale całe szczęście bodaj w tem, że to już spotrzegli i ci, którzy tego dotąd widzieć nie chcieli i, acz z bólem serca, musieli się zgodzić na chwycenie się ostatniej deski ratunku.

A tą deską jest dr. Billński.

Rzecz oczywista, że wchodząc do gabinetu w takich warunkach, jak obecne i wiedząc o tem, dlaczego go powołano, postawił wytrawny polityk swoje żądania, a warszawskie sfery musiały je przyjąć.

Dzięki temu, może wreszcie będziemy mieć silny rząd, złożony z ludzi fachowych, bez względu na ich partyną przynależność. Będzie on miał czas w ciągu feryi sejmowych rozglądać się w sytuacji i zarządzać, co uzna za stosowne i konieczne, a nagonka nań i podgryzanie przez niechętnych rozpocznie się dopiero później, gdy panowie posłowie, wypocząwszy sobie po trudach, zjadą się znowu do Warszawy, aby dalej rządzić.